



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Józef Kuźnik

Rozstania i powroty

Dnia 15 lipca 1940 roku szliśmy z kolegą Janem Juraszem ulicą Starowiślną w kierunku rynku w Krakowie. Minęliśmy planty Dietlowskie. Gdy znaleźliśmy się przed kinem „Uciecha” ujrzelśmy kroczących w naszą stronę dwóch policjantów niemieckich, a trochę dalej, po drugiej stronie – również dwóch. Idący po naszej stronie zatrzymali nas żądając okazania dokumentów i po skontrolowaniu zatrzymali je przy sobie. Zaraz potem zaczepili znów dwóch młodzieńców. Już we czwórkę doszliśmy do bocznej ulicy przy plantach Dietlowskich. Stała tam ciężarówka wypełniona ludźmi przeznaczonymi do prac przymusowych w III Rzeszy. Za chwilę policjanci z drugiej strony przyprowadzili jeszcze trójkę podobnych do nas nieszczęśników, po czym samochód ruszył na ulicę Wąską. Tu trzymano już większą grupę ludzi.

Przespaliliśmy noc na słomie, z wielką liczbą pcheł. Rano pobudka, śniadanie i do przeglądu – głowy, pod pachami, w pachwinach, między palcami (chodziło o świerzby). Jeśli stwierdzono wszy lub gnidy w głowie, obcinano maszynką elektryczną włosy do zera. Na koniec wszyscy do parówki, przy wysokiej temperaturze. Gdy stwierdzono u kogoś świerzby, kazano mu smarować między palcami szarą maścią w tej parówce. W tym dniu dostaliśmy obiad i kolację (jedzenie okropne). Całą noc rozmyślałem. Rano pobudka o godz. 6-tej. Śniadanie. Pobraliśmy suchy prowiant na drogę i z dworca głównego w Krakowie około godz. 11-tej odjechaliśmy pociągiem osobowym w nieznaną.

Jechaliśmy pod eskortą tajniaków niemieckich przez teren Generalnej Guberni do granicy w Trzebińcu. Potem przez Katowice, Wrocław, Drezno, Nienburg, Sztuttgart do Frankfurtu nad Menem. Po drodze rozmyślałem już w jaki sposób będę mógł wrócić z powrotem, czy uda mi się zaoszczędzić pieniądze itp. Przed Frankfurtem n/Menem obserwowaliśmy przepiękne ogródki działkowe z altankami i z mnóstwem cudownych, kolorowych kwiatów. Dzień dopisał słoneczną pogodą.

Po dotarciu na miejsce przeznaczenia deportowani Polacy kierowani byli do gospodarstw „bauerskich”, bądź fabryk zbrojeniowych i innych wielkich zakładów przemysłowych. Ja trafiłem do Zakładów V.D.O. – tachometer – produkujących przeróżne przyrządy pomiarowe do samolotów, łodzi podwodnych i czołgów. Pracowałem jako pomoc w magazynie. Odwoziłem pełne skrzynie wózkami dwukołowymi do wagonów kolejowych i na odwrót – z wagonów do magazynów.

Skoszarowani byliśmy w lagrze tuż przy dużym lotnisku. Od obozu do siatki lotniska było około 300 metrów.

Program dzienny: pobudka 6-ta rano, śniadanie, w dużym garnku czarna kawa zbożowa, słodzona sacharyną, jeden mały garnuszek, dwie kromki chleba z marmoladą buraczną i nic więcej. Wyjazd do

fabryki, ciężka praca, obiad – cztery ziemniaki w skórce, sos, kawałek mięsa (nie codziennie), mała filiżanka bulionu.

Niemcy byli różni. Zdarzali się nawet tacy, którzy litowali się nad nami. Matka młodej Niemki, która pracowała w tym zakładzie, przygotowywała kanapki dla mnie. Idąc schodami na parter dyskretnie podawała mi kromki chleba z masłem i plasterkami paszтетówki, Trwało to jednak niedługo. Kiedyś zauważył to jeden Niemiec i powiedział jej: „Hildo, czy chcesz, żeby obcieli ci włosy, a on trafił do kryminału?”. Przez parę dni nie podawała mi kanapek. Później przy spotkaniu ze mną na schodach zaproponowała inny sposób dostarczania żywności. Zjeżdżała windą, a ja schodziłem schodami i na dole odbierałem od niej przesyłkę. Byli i tacy Niemcy...

Frankfurt n/Menem był bombardowany przez Aliantów w każdą noc od 23-ciej do 1-szej. Wyglądało to niesamowicie: niebo pełne samolotów, reflektory białe jak mleczna droga, artyleria przeciwlotnicza – ciężka i lekka, „zenitówki”... Ale superforcece osiągały tak wysoki pułap, że były dla hitlerowców nieosiągalne.

Lotniska przez parę miesięcy nie bombardowano, ponieważ w godzinach popołudniowych wszystkie samoloty niemieckie odlatywały na polowe lądowisko poza miasto. Aż tu pewnej nocy, kiedy spałem pod kilkoma kocami (to była moja metoda od jakiegoś czasu podczas nalotów), koledzy zrywają ze mnie przykrycie. Na podwórku jasno, że można znaleźć szpilkę. W powietrzu widzę setki choinkowych rakiet zrzuconych z samolotów. Mogła być godzina 23-cia. Biegnę do drzwi, aby opuścić wnętrze lagru. Chwytam za klamkę i słyszę mocny świst bomby, która złamała wierzchołki drzew. Podmuch powietrza był tak straszny, że odrzucił mnie parę metrów. Na twarzy poczułem okropną temperaturę. Wstałem i pobiegłem dalej, do lasu, do moich kolegów. Alianci nadal bombardowali lotnisko.

Jadąc rano do pracy zobaczyłem miasto okropnie zniszczone, zamknięte szlabanami ulice, zrujnowane budynki zakryte w nocy zieloną siatką maskującą. Widząc te sceny w duchu cieszyliśmy się.

Za wiele było bombardowania – aż trudno było wytrzymać. Zorganizowałem więc z kolegą Janem Juraszem ucieczkę z Frankfurtu n/Menem do Lorch Wurtentb. Nie mając doświadczenia życiowego kolega opowiedział o tej ucieczce współwzięniom. W lagrze razem z nami byli Czesi i Ukraińcy, z tym że nie nosili jak my przypiętych przymusowo emblematów „P”.

Było to w niedzielę, godzina południowa. Słonecznie. Jestem na polu na dziedzińcu. Wyjeżdża czarna limuzyna BMW, wychodzi dwóch osobników i kieruje się do biura „Lagerführera” – szefa lagru (był nim Ślązak). Widząc samochód i tych osobników poczułem szybsze bicie serca. Coś przeczuwałem. Za parę minut pada moje nazwisko – „Kucznik” (Kuźnik) i Jurasz. Zgłosiliśmy się do kancelarii „Lagerführera”. Był on także tłumaczem. Zaczęły się pytania o zaplanowaną na wtorek ucieczkę. Nie przyznawaliśmy się do końca. Ja dostałem dwa razy w twarz od szefa lagru, ale Niemcy nie pozwolili na dalsze rękoczynny. Pojechaliśmy samochodem do miasta na gestapo. Spisywanie było niesamowite: od babki, dziadka no i rodziców – ich daty urodzenia itp. Po śledztwie złożyliśmy podpisy i na tym koniec – bez bicia, czym byliśmy zaskoczeni. Odwieźli nas do lagru innym samochodem, wysadzili. Na ścianie wisiała kartka niedbale pisana czerwonym ołówkiem z informacją, co grozi za opuszczenie obozu.

Minęły dwa tygodnie. Znowu organizuję ucieczkę do Lorchu, z tym że w trójkę: ja, Jan Jurasz i Tadeusz Korzonek. Tym razem ostrożnie, nikomu ani słowa. W zaplanowanym dniu wieczorem po apelu i sprawdzeniu obecności wróciliśmy na salę. Rozrzuciliśmy koce obok mojego łóżka. Powiedziałem koledze, że idę za potrzebą. Było już ciemno. Wcześniej przed apelem przerzuciliśmy nasze walizeczki. Teraz wszystko potoczyło się szybciej. Jesteśmy przy siatce, przechodzimy, ale nie możemy znaleźć walizek. Wreszcie znalazły się. Idziemy lasem do przystanku tramwajowego, tramwajem nr 6 jazda do stacji kolejowej. Jesteśmy na dworcu. Spiker zapowiadacze pociąg w kierunku Sztutgartu nie wjeżdża na dworzec z powodu alarmu lotniczego. Niedobrze – obawiamy się kontroli. Siadamy każdy osobno na ławkach. Ja udawałem, że śpię. Podchodzi do mnie dwóch policjantów, jeden świeci w oczy latarką, ale drugi ciągnie go dalej. Spiker zapowiada wjazd pociągu do Sztutgartu, a my do Lorchu.

Po czterech godzinach jazdy jesteśmy na miejscu. Jan Jurasz pracował wcześniej w Lorch. Dostał krótki urlop z powodu zgonu ojca i nie wrócił. Zaraz złapano go w Bronowicach k. Krakowa i wywieziono drugi raz do Frankfurtu n/Menem.

Jesteśmy więc w Lorch. Jurasz spotyka znajomego Czecha – tłumacza. Okazuje się, że musimy się zgłosić na policji. Na komendzie dokładnie nas o wszystko wypytało. Powiedzieliśmy, że wysokie ceny i trudności zaopatrzeniowe w Generalnej Guberni zmusiły nas do przyjazdu z Juraszem. Policjant nie bardzo chciał w to wierzyć, ale w tym czasie liczyła się siła robocza. Potrzebowali ludzi do Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Ziemnych. Podaliśmy nasze dane i po odebraniu od policjanta kartek żywnościowych zostaliśmy zwolnieni.

W Lorch spokój z bombardowaniem, ale warunki okropne, w pomieszczeniach bród, nędza, łóżka piętrowe drewniane, zapluskwione, koce zawszone, mycie w piwnicy. Zimą praca w kamieniołomach bez zimowej odzieży. Jedzenie – obiady w barze pod nazwą „Zum grinen baum” pod zielonym drzewem. Śniadania i kolacje przygotowywaliśmy sobie sami: kawę zbożową lub mleko zbierane z chle-

bem. Chleb był na kartki, a masło musiało wystarczyć na cały miesiąc. Byli tacy, którzy w przeciągu dwóch tygodni kończyli ten przydział.

Pewnego dnia, kiedy poszedłem do mleczarni po zbierane mleko (8 flaszek po winie włoskim), obsłużył mnie kierownik mleczarni. Nigdy nie miał do mnie zaufania, ponieważ byłem Polakiem z tym przypiętym „P”. Stał tak długo za ladą aż wyszedłem. Kiedyś po wyjściu z mleczarni sięgnąłem do kieszeni po pieniądze. Stwierdziłem, że kierownik wydał za dużo, więc wróciłem i powiedziałem mu to. Przeliczył oddając resztę należności, podziękował. Od tego dnia Niemiec za tych parę fenigów był dla mnie inny – nie do poznania.

Z powodu zawoszonych koców zachorowałem. Pojawiły się: wysoka gorączka, czerwone plamy na ciele, całkowite osłabienie. Koledzy wezwali pogotowie. Szybko przewieziono mnie do szpitala do miasta Schondorf. Tam rozebrano mnie, wykąpano, przebrano w świeżą bieliznę. W pewnym momencie straciłem przytomność. Obudziłem się leżąc w jednoosobowej izolatce, przy mnie siedziała siostra zakonna robiąc ręczną robótkę. Po dwóch tygodniach wróciłem do lagru do Lorch.

I znów noszenie mleka. Kierownik był bardzo zdziwiony, że źle wyglądam. Powiedziałem, że byłem chory na tyfus plamisty. Niemiec dał mi za darmo trochę masła, do flaszki mleko nie zbierane, trochę sera. Jak to jednak warto było oddać tych parę fenigów.

Pamiętam dzień Wigilii. Świerk udekorowany kawałkami waty. Kolacja – zupa z makaronem i chleb. Tylko na to było nas stać. Zaczęliśmy kolędować obserwując twarze starszych kolegów. Mieli w oczach łzy.

Czyniliśmy starania u księdza i w zarządzie miasta, aby móc uczęszczać w niedziele do kościoła parafialnego. Sprawa została załatwiona pozytywnie.

Myliśmy się codziennie w piwnicy lagru pod kawałkiem wystającej ocynkowanej rurki z kranikiem. Żeby nie moczyc nóg lub pantofli ułożyliśmy na podłodze cegły.

W nocy, kiedy wszyscy zasypiali na moim kocu zaczynały swoje występy myszy i szczury. Trwało to do momentu, gdy zaczynały zbliżać się do mojej głowy. Wtedy energicznie podnosiłem koc do góry, a one spadały na podłogę jak kluski. Pewnego razu, kiedy moi koledzy już chrapali, w jaśku wypełnionym „kolzwolem” (wiórami z drzewa) zaczęło się coś ruszać. Okazało się, że gnieździły się tam nowo urodzone myszy. Wsadziłem rękę do środka i wyrzuciłem kilka sztuk na podłogę.

Nie wolno nam było mieć roweru, aparatu fotograficznego, chodzić do kina. Mogliśmy poruszać się tylko w granicach Lorch Wirtt. Można było iść do baru, ale tylko dla Polaków. Trzeba było nosić przymusowo literkę „P” – „Polen” – w kolorze fioletowym na żółtym tle, obszytą na tekturze czarną nitką, przypiętą do marynarki lub klapy płaszcza. Gdy chciało się coś kupić w sklepie trzeba było literkę odpiąć. Było to ryzykowne, gdyż w przypadku ujawnienia tego faktu płaciło się karę, którą mogła być na przykład dwutygodniowa praca. Pomagali nam donosem Ukraińcy i Czesi, którzy pracowali w tym małym miasteczku i znali nas.

Miałem już niezłe opanowany język niemiecki, niektórzy jednak dopiero się z nim zapoznali. Byli i tacy, którzy nie rozumieli, ledwie mogli coś powiedzieć. Pewnego dnia przy pracach ziemnych Niemiec nazwiskiem Fink – „forarbeiter”, zwrócił się do mnie o podanie czegoś. Do dnia dzisiejszego nie wiem czego, bo nie rozumiałem o co chodzi. Złapał do ręki kostkę brukową i uderzył mnie w prawy bok ze słowami „ty polska świnió” (du polnische schwein). Ból był straszny, ale takie mieli oni prawo w tamtych czasach.

Kolega Tadeusz Korzonek w sobotę po południu, kiedy mieliśmy wolne po pracy, poszedł ukradkiem do pracujących u bauerów kolegów i koleżanek na potańcówkę i wypicie produkowanego przez nich bimbru. Wrócił do lagru zmęczony i niewyspany w poniedziałek rano. Zasnął i nie poszedł do pracy. Fink pyta o niego – co się dzieje, że nie ma go w pracy. Odpowiadamy, że nie wiemy. Wtedy wziął kawał kabła gumowego do ręki i poszedł do lagru. Zaczął pukać do drzwi, ale Korzonek nie wstawał i nie otwierał. Niemiec wyważył drzwi i wpadł do wnętrza. Później strasznie pobił Korzonka.

Kolega Jurasz zaczął korespondować ze swoją rodziną z Bronowie k/Krakowa. Nie trwało to długo. Wkrótce bowiem dostaliśmy wiadomość, że jesteśmy tropieni przez polską i niemiecką policję z powodu ucieczki z Frankfurtu n/Menem. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na ucieczkę z Niemiec do swoich stron, do Polski. Pierwszy odważył się na to T. Korzonek. Dostaliśmy później wiadomość od niego z rodzinnego Zabierzowa k/Krakowa, że ucieczka się udała.

Powiodło się też Janowi Juraszowi, który powrócił do Bronowie k/Krakowa. Ja miałem być trzeci. Rozpocząłem przygotowania. Opracowałem sobie trasę jazdy pociągami pospieszными. Sprawa nie wydawała się ryzykowna, gdyż jako pracownik mogłem otrzymać urlop do miejsca zamieszkania.

Przed ucieczką z Lorch Wirtt przygotowałem sobie ubranie, kupione specjalnie na tę okazję w sklepie „Stara lada”: granatowe pumpy, granatowy kapelusz z grubym białym sznurkiem, białe grube skarpety, kremową wiatrówkę i granatowy cienki sweter. Ubranie noszone dotąd na co dzień wysłałem wcześniej w paczce do domu.

Z nikim nie żegnałem się w Lorch, jak również w lagrze. Wcześniej od lekarza zakładowego otrzymałem trzy dni wolnego. Nie bardzo wierzył, że zagojona rana na nodze jeszcze mnie boli, ale

udało się. O godz. 18-tej wyjechałem pociągiem do Sztutgartu. Po godzinie byłem na miejscu. Wsiadłem na dworcu. Pociąg pospieszny do Ninbergu miałem dopiero o 6.30, a więc miałem przed sobą prawie całą noc czekania. Siadłem na ławce. Za chwilę przysiadł się do mnie żołnierz, młody podoficer lotnictwa, zaczynając rozmowę. Powiedziałem, że jestem Czechem i jadę do Morawskiej Ostrawy. Bezpieczniej było nie przyznawać się, że jestem Polakiem, gdyż mogłoby się to źle skończyć. Rozmowa trwała krótko, gdyż za chwilę spojrział na zegarek i pożegnał się.

Co dalej robić? Zauważyłem szereg około 30-tu ubikacji z automatycznymi zamkami. Wrzucając 10 fenigów można było przesiedzieć w nich do rana. Tak też zrobiłem. Nie wiem ile razy do mnie stukano, ile razy spuszczano wodę winnych pomieszczeniach obok mnie. Słyszałem też nalot i syreny, niesamowite wycie. To była najdłuższa noc w moim życiu. Rano o 6.30 wyszedłem, obmyłem sobie twarz. No i do kasy biletowej – kupiłem bilet na pociąg pospieszny w kierunku Ninbergu na godzinę 7-mą. Wsiadłem, ale nie wszedłem do przedziału, tylko stanąłem z tyłu w wagonie, obawiając się rozmowy i kontaktu z Niemcami. Ninberg – wysiadka i do kasy po bilet do Drezna. Stanąłem w idealnej kolejce, a zaraz obok mnie ustawił się niemiecki policjant. Ja krok i on krok, aż do samej kasy. Myślałem, że już koniec ze mną. Kupiłem bilet i biegiem na peron. Podobnie jak wcześniej poszedłem na koniec wagonu. Wtem drzwi się otwierają i wsiada starszy pan, wysoki, szpakowaty Niemiec. Przy klapie przypięta odznaka w złotym wianku, a w środku „haken kreutz” – hitlerowski znaczek. Miał dwie kobiałki z truskawkami, a przewozić można było tylko jeden duży kosz. Zwrócił się więc do mnie, abym w przypadku kontroli powiedział, że część truskawek jest moja.

Stałem milcząc z kobiałką między nogami. Nagle z drugiej strony wagonu weszli konduktor, żandarmeria wojskowa z półksiężycem na łańcuszku i policjant kolejowy. Zaczęli kontrolować bilety. Serce zabiło mi mocniej. Nie miałem przy sobie żadnych dokumentów, legitymacji, nawet zdjęcia. Podeszli do nas i zaszalutowali mojemu sąsiadowi –wysoko postawionemu w hierarchii partyjnej, o czym świadczyła jego odznaka. Po sprawdzeniu biletów odeszli. Czy to nie było szczęście, dzięki temu Niemcowi?

Wysiadka w Dreźnie. Tu kupiłem bilet do Wrocławia. Jazda podobnie jak poprzednio – żadnej rozmowy z nikim, aby nie powodować podejrzeń. Byłem już blisko celu. Kolejna przesiadka w Katowicach. Stąd miałem jechać do Trzebinii/Granicy III Rzeszy i Generalnej Guberni mineliśmy o godz. 12.30. Był piękny, słoneczny dzień. Wyszedłem bocznym wyjściem z innymi pasażerami do miasta. W Trzebinii spotkałem znajomą panią o nazwisku Noworyta. Jej mąż pracował jako kolejarz na miejscowej stacji. Poinformowałem ją, że uciekłem z Niemiec. Nie obawiałem się, ponieważ znaliśmy się od dawnych lat. „Panie Kuźnik proszę tu zaczekać. Mąż będzie za chwilę i poinformuje Pana o miejscu przejścia przez granicę” – powiedziała.

Czekałem około godziny, ale nikt się nie zjawił. Bałem się, żeby ktoś mnie nie zaczepił, bo byłby to koniec mojej ucieczki. Przeżegnałem się więc i marsz w kierunku miasta Trzebinii. Koło huty cynkowej wszedłem na polną drogę. Nagle zauważyłem podążającą w moim kierunku służbę graniczną (granzschutze) z psami. Dzieliła nas odległość około 350 metrów. Co mam robić? Skręcam do domku z ganeczkiem, wchodzę. Kobieta obiera ziemniaki, bo była to pora obiadowa. Zapytałem ją w jaki sposób przejść przez granicę. Pomyślała, że coś szmugluję, a gdy potwierdziłem powiedziała: „Ma pan szczęście, ci żołnierze graniczni z tymi psami idą na obiad Tam przy szlabanie granicznym został na służbie tylko jeden. Wytłumaczyła mi jak i gdzie mam iść – koło fabryki mydła firmy Schichta”, obok muru i na tory kolejowe. Podziękowałem i w drogę, właśnie koło muru tej fabryki, gdzie biegły szyny kolejowe Kraków-Trzebinia Dochodząc do nasypu i stalowego semaforu zawadziłem nogą o druty Odezwał się dzwonek. Stojący przy szlabanie w odległości około 400 metrów żołnierz niemiecki zobaczył mnie, zdjął karabin, krzyknął halt” i strzelił. Słyszałem świst kuli obok mnie. Rzuciłem się do ucieczki – na ślepo przez tory do pobliskiego lasu. W tym lasku, niespełna pół kilometra od torów, ułożyłem się pod drzewkiem, wyciągnąłem już ostatnie kanapki i posiłem się, bo bardzo byłem zmęczony. Niemiec chwilę obserwował przez lornetkę las i odszedł na swoje miejsce.

Do dalszej drogi aby być mniej widocznym ściągnąłem granatowe pumpy na białe skarpety, a kapelusz granatowy z białym sznurkiem i kremową wiatrówkę włożyłem do walizki. Wstałem i dalej lasem. Po półgodzinnym marszu okazało się, że zabłądziłem i znalazłem się z drugiej strony Trzebinii. Zawróciłem więc w kierunku GG. Po półtoragodzinnym marszu na wschód przez lasy, moje oczy zobaczyły coś cudownego: pomiędzy zielonymi drzewami pokazały się ruiny zamku Tenczyńskich z XIV wieku. Jeszcze około 300 metrów i jestem w GG. Przebiegłem szosę i dopiero wtedy znalazłem się po drugiej stronie granicy.

W miejscowości Rudno, tuż przy ruinach zamku, byli już Polacy. Wszedłem na podwórko, gdzie kręcił się gospodarz i gospodyni. „A skąd to pan wraca? – zapytali. Wygląda pan na bardzo zmęczonego”. Wiedziałem z kim mam do czynienia, więc szczerze odpowiedziałem, że uciekam z Niemiec. Zaprosili mnie na ziemniaki i kwaśne mleko. Gospodyni podstawiła mi balię z wodą i mały taborecik. Włożyłem nogi do zimnej wody i zasnąłem. Nie najlepiej się czułem po tej podróży, ale najważniejsze, że opuściłem III Rzeszę. Po odpoczynku poszedłem dalej w stronę domu.

Dotarłem do rodzinnego domu w Tenczynku (nr 292). Rodziców akurat nie było. Tato dojeżdżał do pracy do Krakowa, a mama dorabiała u gospodarzy. Usiadłem na ganku i zasnąłem. Nie wiem, która była godzina, kiedy moje matczyśko wróciło. Obudziła mnie cała zapłakana. Gdy ją zobaczyłem i ja zacząłem płakać. Wieczorem wrócił tato z Krakowa. Budzi mnie cały zalany łzami – typowy mężczyzna, ale nie wytrzymał. I również ja nie wytrzymałem, zacząłem z nim płakać.

Miałem spokój dwa tygodnie, jeśli chodzi o polską policję no i niemiecką. Mój ojciec wykonywał remont zlecony przez zakonnice w Tenczynku w szkole podstawowej. Pewnego dnia poszedłem do taty. Usiadłem na ławce szkolnej i rozmawiałem z zakonnicami na temat pobytu w Niemczech, o bombardowaniach we Frankfurcie n/Menem, o mojej ucieczce. Patrząc na drogę i kościół zauważyłem nagle podążających w naszym kierunku policjantów w mundurach. Zakonnice w pośpiechu wskazały mi przejście przez kaplicę do ogrodu, skąd uciekłem do lasu.

Policjanci przyszli do mojego ojca. Pytali gdzie jestem. Tato miał sposób tłumaczenia opracowany przeze mnie. Odpowiedział więc, że syn był dwa tygodnie w domu na urlopie i wczoraj w nocy wrócił do Niemiec. Udało się na krótko.

Do końca 1945 roku miałem jeszcze wiele innych przygód, ale tego już nie będę opisywać.